

Genealogiczne przygody

Badania genealogiczne, jak dobrze wszyscy wiemy, słyną z tego, że sprawiają dużo problemów. Często nie możemy natrafić na ślad antenatów, odnaleźć interesujących nas metryk czy miejscowości. Czujemy się wtedy przyparci do muru, odkładamy materiał do szuflady i czekamy z nadzieją, że może kiedyś uda nam się do tego wrócić i ruszyć z miejsca. Jednakże genealogia ma to do siebie, że oprócz szeregu problemów, jakie napotykamy podczas poszukiwań, dostarcza nam też szeregu niespodzianek, faktów z życia naszych przodków, o których byśmy nawet nie śnili.

Pewnego dnia „skrzyknęliśmy się”, my, to znaczy nasz prezes Wojtek Jędraszewski, Sława Gucia, Jurek Osypiuk, Lila Molenda, Basia Cywińska, Małgosia Wstawska-Wróbel i ja, i stwierdziliśmy, że fajnie by było przedstawić Wam historie, które najbardziej nas zaskoczyły podczas naszych poszukiwań. Z założenia miały to być historie dość krótkie, smutne lub z humorem, ale przede wszystkim takie, które niektórych z Was zainspirują do otworzenia tej przysłowiowej szuflady i spojrzenia na trudną sprawę jeszcze raz. Może nasze historie przyczynią się do tego, że coś nowego uda się Wam odnaleźć.

Każdy z nas usiadł więc do swojego drzewka i zastanawiał się, jaką by historię opisać.

Zacznijmy od Jurka Osypiuka, który w swoim opowiadaniu przedstawił, jak to historia w jego rodzinie, a właściwie w rodzinie jego małżonki, zatoczyła koło.

Przypadek Jurka

W 1981 roku, szukając pracy w zawodzie nauczycielskim, trafiliśmy z żoną Krystyną do Nekli, gdzie zaoferowano nam pracę i mieszkanie służbowe. Trafiliśmy tutaj zupełnie przypadkowo po ukończeniu studiów pedagogicznych na UMCS w Lublinie. Korzenie żony sięgają ziemi mogileńskiej, moje – województwa lubelskiego. Podobało się nam położenie Nekli przy szlaku komunikacyjnym, w niewielkiej odległości od Poznania. Mieszkaliśmy już tutaj kilkanaście lat, gdy ok. połowy lat 90. moja teściowa, ubiegając się o odszkodowanie za pracę przymusową w okresie okupacji hitlerowskiej za pośrednictwem Stowarzyszenia Poszkodowani przez III Rzeszę, wypożyczyła od swojego brata książeczkę rodzinną z okresu międzywojennego, w której znajdowały się urzędowo potwierdzone wydarzenia z życia rodziny: śluby (cywilny i kościelny) i narodziny poszczególnych dzieci.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy przeczytaliśmy, że rodzice teściowej, a dziadkowie mojej żony, zawarli 17 lutego 1928 roku ślub cywilny w USC Nekla, a dwa

dni później ślub kościelny w parafii w Opatówku. Była to informacja „powalająca z nóg”, wywołująca wielkie emocje. Przez kilkanaście lat naszego małżeństwa nie wiedzieliśmy, że istnieją jakiegokolwiek związki rodziny żony, która od zawsze mieszkała w okolicach Mogilna, z naszą Neklą. W opowieściach teściowej przewijały się takie miejscowości, jak Września, Gulczewo, Królewiec czy Nadarzyce, gdzie w czasie wojny przebywała w rodzinie swojego wuja Józefa Błaszaka i pracowała w miejscowym majątku. Nigdy nie było mowy o Nekli.

Ojciec teściowej, a dziadek mojej żony, Franciszek Nowakowski został rozstrzelany we wrześniu 1939 roku przez Niemców podczas zbiorowej egzekucji w Świerkówcu, dzisiaj dzielnicy Mogilna. Żona z szóstką małych dzieci została wyrzucona z gospodarstwa w Janowie k/Padniewa i musiała szukać pomocy u rodziny. Sama z najmniejszymi dziećmi znalazła schronienie u swoich rodziców w Królewcu pod Witkowem. Starszymi dziećmi zaopiekowały się rodziny rodzeństwa, pozbawionej domu wdowy Rozalii z Błaszaków Nowakowskiej, mieszkające w Nadarżycach i Gulczewie.

Ta niezwykła informacja, uzyskana ze wspomnianego dokumentu, była na tyle intrygująca, że podjąłem badania genealogiczne rodziny Nowakowskich. Trudno było sobie uzmysłować, dlaczego rolnik Franciszek Nowakowski, zamieszkały w Kowalewie pod Rogowem, poślubił w 1928 roku pannę Rozalię Błaszakówną, córkę włodarza majątku w Opatówku koło Nekli. Przez dłuższy czas nie znajdowałem zadowalającego wytłumaczenia. Dopiero przesłedzenie zapisów w księgach dusz (meldunkowych) w AP Gniezno pozwoliło na poznanie prawdy.

Rodzina wspomnianego kawalera z Kowalewa przybyła tam z Przyborówka koło Wierzyc w gm. Łubowo. Kolejna księga dusz dla Przyborówka wyjaśniła całą tajemnicę. Znajduje się w niej informacja, że rodzina Marcina i Katarzyny Nowakowskich przybyła do Przyborówka z Barczyzny koło Nekli 30 września 1919 roku. Niestety, tutaj historia się urywa. Nie zachowały się księgi meldunkowe dla Barczyzny, która w tamtym czasie administracyjnie należała do powiatu witkowskiego w rejencji bydgoskiej. Nie dowiemy się już, kiedy rodzina zamieszkała w Barczyźnie, skąd przybyła i jak długo tutaj mieszkała. Logicznym wydaje się domniemanie, że urodzony w 1898 roku Franciszek mógł chodzić do szkoły w Barczyźnie, znać okoliczną młodzież. Najprawdopodobniej stąd został powołany do odbycia służby wojskowej w armii pruskiej. Zachowana z tego okresu fotografia z nadrukiem na rewersie „Schwedt Und

Oder” sugeruje, że tam przechodził przeszkolenie unitarne w pułku dragonów. Niestety, nie wiadomo co działo się później, czy był skierowany na front I wojny światowej, jakie były jego losy podczas powstania wielkopolskiego. Przyjąłem hipotezę, że mógł uczestniczyć w powstaniu wielkopolskim, a po jego zakończeniu jako kawalerzysta (dragon) trafił do 16/2 Pułku Ułanów i uczestniczył w wojnie bolszewickiej. Zachowało się zdjęcie z tej wojny, na którym jest ubrany w mundur 16 PU. Równie dobrze mógł do tej jednostki trafić wskutek zaciągu/poboru. Na uczestnictwo w powstaniu (z wielką ostrożnością) sugeruje fakt, że świadkiem na ślubie w 1928 roku był jeden z najbardziej walecznych powstańców kompanii nekielskiej – Andrzej Hadada. Zwykle do tej roli zaprasza się osobę z najbliższego kręgu znajomych.

Inna tajemnica, tajemnica zagadkowego aresztowania Franciszka Nowakowskiego w 1939 roku, wyjaśniła się po przeczytaniu wspomnień jednej z sióstr teściowej, którą przekonałem do ich spisania. Swoją wiedzę czerpała z przekazów swojej mamy, z którą, jako najmłodsza córka, najdłużej przebywała. Okazało się, że ojciec został wydany w ręce gestapo przez zawistnego Polaka, który dzierżawił wcześniej zakupione w czerwcu 1939 roku przez rodzinę Nowakowskich gospodarstwo w Janowie. Wszystko wskazuje na to, że ten sam sprawca doprowadził do pożaru stodoły, już po powrocie wdowy z dziećmi do własnego gospodarstwa po wojennej tułaczce. Był widziany w okolicy w tym czasie, zanim zniknął bez śladu. Wspomnienia dotyczące Franciszka Nowakowskiego i historii jego rodziny opublikowano w książce *Za to, że byli Polakami. II wojna światowa w pamięci mieszkańców gminy Nekla*.

Historia zatoczyła koło. Po 53 latach przedstawicielka drugiego pokolenia potomków Franciszka i Rozalii Nowakowskich zupełnie przypadkowo przybyła do Nekli, z której małżonkowie Nowakowscy wyruszyli w świat do samodzielnego życia. Życie ich nie rozpieszczało. Po ślubie wyruszyli na Śląsk do Rybnika, gdzie urodziła się najstarsza córka Irena (mama mojej żony), a skąd musieli powrócić do Kowalewa po śmierci Marcina, ojca Franciszka. Później wędrowali z miejsca na miejsce, aby w 1939 roku osiąść na swoim gospodarstwie w Janowie z szóstką małych dzieci. Zaledwie w cztery miesiące później Franciszek stracił życie w wieku 41 lat. Jego żona Rozalia uległa zatruciu tlenkiem węgla w 1950 roku w wieku 46 lat, przebywając u córki, przygotowującej się do porodu na tzw. ziemiach odzyskanych, w okolicach Cedyni. Tak więc nie miał kto przekazać dzieciom i wnukom

wiedzy o historii rodziny. Pomocnymi okazały się po 70 latach badania genealogiczne, wydobywające z mroków przeszłości zaskakujące i tragiczne dzieje rodziny.

Zapewne wielu z Was znalazło się w podobnej sytuacji – zamieszkało lub zaczęło pracować w miejscu związanym ze swoimi przodkami, o którym nie mieliście nawet zielonego pojęcia. Ale czy ktokolwiek z Was podejrzewał swojego antenata o... bigamię? Do takich wniosków doszła nasza niezastąpiona redaktorka Sława, która musiała się nagłowić, czy ten dziadek miał dwie żony, czy kochankę, czy jak to w końcu było...

Przypadek Sławy

Kiedy rozpoczynałam poszukiwania przodków, co chwilę staczałam z nimi potyczkę. Walka nie była równa – z mojej winy – gdyż miałam za mało doświadczenia, a przede wszystkim wyobraźni, co może czekać poszukiwacza. Choć rodzina moich antenatów, o której chce napisać, mieszkała nieopodal mojego rodzinnego domu i trochę wiedzy o niej było wśród krewnych (również dwie teorie dotyczące nazwiska), usystematyzowanie zdobytych danych metrykalnych zajęło mi sporo czasu. I długo zastanawiałam się, czy przodek był bigamistą, czy też miał w jednej wsi żonę i kochankę.

Otóż, mój prapradziad Andrzej nazywał się Płotek. Jego przodkowie kiedyś byli Płautkami/Płautkowiakami, a trochę później zamiennie stosowali formy Płotek i Płotkowiak, często w aktach zapisywano Płotek alias Płotkowiak. Z mojej rodzinnej wsi rozpierzchli się po okolicznych siółkach i w większości byli jednak Płotkowiakami. Płotki ostały się jedynie w gnieździe.

Andrzej był zawsze Płotkiem, ale... kiedy rodziły się jego dzieci, prapradziad podczas ich rejestracji „poszalał”. Dzieci miał dziewięcioro, troje z nich było Płotkowiakami (w kolejności 2, 3 i 4), reszta to Płotki. Mój pradziad Stanisław, syn Andrzeja, był Płotkowiakiem. Aby było ciekawiej, Andrzej, chodząc do USC, jako matki podawał dwie kobiety: Katarzynę Gałęską i Katarzynę Tomaszewską – oczywiście Kaśki przeplatały się. Nie było związku pomiędzy nazwiskiem dziecka a nazwiskiem matki, czyli np. Katarzyna Gałęska nie zawsze była matką dla Płotków. Nic z tego. Gdy to wszystko spisałam, pomyślałam: bigamista? Nie...

mieszkali w jednej wsi. Kochanka? Możliwe, tak już było w innej rodzinie. Ale... taka informacja przetrwałaby w rodzinnych opowieściach, a mnie nikt nic takiego nie opowiedział.

Do tego wszystkiego były dwie wersje o „nadawaniu” nazwiska. Pierwsza, że dziadek jak sobie z radości wypił i „szedł do Niemca rejestrować”, to skracał nazwisko do Płotka. Ale przecież on się tak nazywał, a w urzędzie nazwisko wydłużał. Czyli rodzinne podanie nie znalazło potwierdzenia w dokumentach. Druga opowieść mówiła, że synowie Andrzeja, gdy wyjechali do pracy za chlebem (pracowali w kopalniach we Francji), to nazwisko skrócili dla łatwiejszej wymowy. I tutaj dokumenty nie potwierdziły legendy, bo wyjechali jako Płotkowiaki i Płotki i tak też wrócili – nazwiska żaden z nich nie zmienił. Zatem należy uznać, że dziadzio u Niemca (może z tej radości) nie zauważył, że urzędnik (USC mieściło się w sąsiedniej wsi) wpisuje inne nazwisko, częściej występujące w okolicy, bardziej popularne. Tak jak wówczas wpisano, tak do dzisiaj gałęzie rodziny się nazywają.

Wróćmy do Katarzyn. Jak wspomniałam, były dwie. Ślub brał tylko z jedną Kasią, z domu Gałęską. Była ona dzieckiem paniieńskim Marianny. Przez prawie 10 lat Kaśki pozostawały tajemnicą aż przez przypadek – bo jak już stwierdziłam, w genealogii jest on bardzo częsty – natknęłam się na parę Marianna Gałęska i Józef Tomaszewski, którzy orbitowali w okolicy mojej ulubionej wsi. Tknęło mnie przecucie i zaczęłam ich dokładnie rozpracowywać. Owa Marianna okazała się matką mojej praprababki Katarzyny. Wyszła za mąż prawie w tym samym czasie co jej córka. Stąd mój ulubiony antenat Andrzej podawał oba nazwiska.

Wiem, że już powinnam skończyć moją opowieść, ale do tej rodziny w ciekawej relacji „wdarło” się moje rodowe nazwisko Gucia. Muszę Wam o tym także napisać.

Wspomniany wyżej Stanisław Płotkowiak to mój pradziad. Ożenił się z Marianną. Niestety młodo zmarł, pozostawiając pod opieką matki pięcioro dzieci, w tym moją babkę Franciszkę Płotkowiak. Jak niegdyś często bywało, z Marianną ożenił się „brat po bracie”, czyli Michał Płotek (brat Stanisława). Marianna I voto Płotkowiak II voto Płotek po niedługim czasie zmarła. Minęło kilka lat, moja babka Franciszka dorosła i poznała Jana Gucię, który przybył z Sielinka z gen. Sosenskowskim na Ławicę. Wspólnie pracowali na lotnisku – ona naprawiała spadochrony, on malował samoloty. Na ich ślub przyjechali krewni z okolic Opalenicy, w tym Marianna Gucia siostra Jana. Wówczas po-

znała wdowca Michała Płotka, za którego wyszła za mąż, zostając macochą swojej szwagierki! Genealogia jest po prostu piękna!!!

Nie można się nie zgodzić ze Sławą, że genealogia jest piękna. W końcu gdyby taka nie była, nie siedzielibyśmy godzinami nad metrykami w archiwach :) Wracając do naszych przypadków, problem z imieniem wśród swoich przodków miała Lila Molenda. W rodzeństwie było dwóch braci o tym samym imieniu. Z rozpadu Lila uśmierciła jednego z nich, myśląc, że zmarł w dzieciństwie, zobaczcie, jakiego odkrycia dokonowała i jak się okazuje, jaki błąd popełniła...

Przypadek Lili

Zapewne wielu z nas spotkało w swoich poszukiwaniach genealogicznych rodzeństwo o tych samych imionach. Gdy dziecko zmarło, niekiedy kolejne otrzymywało to samo imię i nie były to wcale rzadkie przypadki. Natomiast dość wyjątkowo zdarzało się, że rodzone rodzeństwo o identycznych imionach dożyło wieku dorosłego.

Mój pradziadek Franciszek Graczyk urodził się w 1887 roku w Mamliczu z Walentego i Anny z Niedzielskich. Miał najstarszego brata, również Franciszka, który, jak przypuszczałam, zmarł w dzieciństwie, choć jego aktu zgonu nie udało mi się odnaleźć.

Jednocześnie z opowiadań taty wiedziałam, że moja babcia Stanisława Molenda z Graczyków często odwiedzała w Rycerzewku swoje kuzynki Graczykówny, lecz jakie dokładnie łączyło je pokrewieństwo, nie było już kogo zapytać... W inowrocławskim archiwum państwowym odszukałam w rejestrze mieszkańców Rycerzewka Katarzynę Graczyk z Binkowskich z dziećmi, wdowę po Franciszku. Niestety, żadnych danych jej męża nie podano. Pewna byłam tylko jednego: nie jest to mój pradziadek.

Ponieważ nie ustaliłam rodziców ani miejsca urodzenia Franciszka Graczyka z Rycerzewka, dokument z archiwum schowałam do szuflady, gdzie przeleżał parę lat. Jakież było moje zdziwienie, gdy całkiem niedawno znalazłam w aktach USC Gniewkówek akt ślubu owego Franciszka ze wspomnianą Katarzyną. Okazał się najstarszym bratem mojego pradziadka, właśnie tym Franciszkiem, którego zbyt pochopnie uznałam za zmarłego w dzieciństwie. Tak więc moi prapradziadkowie mieli dwóch rodzonych synów Francisz-

ków, co potwierdzały ich cywilne akty urodzenia. Obaj założyli rodziny i doczekali się licznych potomków.

To jednak nie koniec tej historii. Dwóch braci Franciszków nie dawało mi spokoju, więc postanowiłam badać sprawę dalej. Zazrzałam do ksiąg parafii Lisewo Kościelne, by potwierdzić w kościelnym unikacie cywilny akt urodzenia mojego pradziadka. Po odszukaniu aktu chrztu nie mogłam uwierzyć własnym oczom: data urodzenia, miejscowość, rodzice ci sami. Tylko imię inne: Stanisław. Natomiast we wszystkich urzędowych dokumentach pradziadek był Franciszkiem, zgodnie ze swoim cywilnym aktem urodzenia. Imię to występuje również w aktach urodzenia jego dzieci.

Interesujące, dlaczego ochrzczono dziecko właśnie tym imieniem. Pradziadek urodził się 23 stycznia i w okolicach tej daty nie był wspomniany w Kościele katolickim żaden ze świętych Stanisławów. Za to św. Franciszek Salezy wspomniany jest 29 stycznia. Być może ksiądz przychylił się do prośby rodziny, aby nadać dziecku imię zmarłego wcześniej braciszka. Brat pradziadka Stanisław (ur. 10.11.1883 w Jaksicach, zm. 16.09.1885 w miejscowości Czarnebłoto) zmarł na dyfteryt. Jak wspominałam na początku, tego rodzaju praktyka nie była w tym okresie rzadkim przypadkiem.

Szczególnie mocno nurtowało mnie pytanie, jakim imieniem zwracali się w takim razie do pradziadka najbliżsi. Nie ulega wątpliwości, że obecność w domu dwóch braci Franciszków byłaby w życiu codziennym nieco uciążliwa, bo trzeba by było ich jakoś rozróżniać. Nieoczekiwanie przyszedł mi z pomocą jeden z dokumentów, który znałam od dawna.

Pradziadek Franciszek vel Stanisław Graczyk odszedł wcześniej, bo w wieku niespełna 46 lat. W swoim cywilnym akcie zgonu, ale także w kościelnym, figuruje oczywiście jako Franciszek. Gdy ponad 30 lat później zmarła jego żona, Joanna z Królikowskich, zgon zgłosiła w USC Barcin córka Kazimiera. I tu kolejna niespodzianka: w akcie zgonu prababci zapisano, że była wdową po Stanisławie Graczyku. To jedyny dokument cywilny, w którym pradziadek Franciszek figuruje jako Stanisław. Jego treść znałam dużo wcześniej, jeszcze zanim dotarłam do sprawy dwóch Franciszków oraz pozostałych faktów. Zawsze byłam pewna, że wkradł się do niego błąd, jak się jednak okazało – niekoniecznie.

Pewnie nie uda mi się jednoznacznie stwierdzić, jak to właściwie było z tymi imionami i skąd wzięła się rozbieżność między aktem urodzenia i aktem

chrztu pradziadka. Nie żyje już nikt, kto mógłby mi w tym pomóc, pozostają tylko przypuszczenia. Jak widać, genealogia skrywa wiele niespodzianek, bezustannie się o tym przekonujemy. Tylko od nas zależy, czy wystarczy nam cierpliwości i dociekliwości, by je odkryć oraz zrozumieć.

Historia Lili pokazuje, że nie możemy z góry czegoś zakładać, nie mając na to potwierdzenia. Taki przypadek prezentuje również Basia Cywińska. Jednak w jej przypadku, chodzi o podejrzenie, iż przodkowie męża wywodzili się ze szlachty. Zobaczcie, co Basia odkryła.

Przypadek Basi

Gdy wyszłam za mąż i zmieniałam nazwisko, często spotykałam się z pytaniem:

– A to z tych Cywińskich?

Pytający mieli oczywiście na myśli dyrektor Teatru Nowego w Poznaniu panią Izabelę Cywińską. Łechtało mnie to mile, ale zgodnie z prawdą odpowiadałam, że niestety nie.

Później podczas rodzinnych spotkań i rozmów pojawiały się sugestie, jakoby nasi Cywińscy to napływowa szlachta litewska. Brat mojego teścia miał na to nawet „dowody” w postaci artykułu Przemysława Szafrana „Osadnictwo historycznej Krajny w XVI–XVIII w.”, gdzie podaje się, że współwłaścicielem Starej Wiśniewki (pow. złotowski) był niejaki Cywiński. A właśnie Stara Wiśniewka, Fanianowo, Wiktorówko i Łobżenica to miejsca związane z korzeniami rodziny mojego męża.

Niespecjalnie mnie to wtedy interesowało, tematy historyczne zgłębiał mój mąż, ja ogarniałam pieluchy i kaszki. Jednak przyszedł czas, gdy zaczęłam interesować się historią rodziny, a dzieci, które z pieluch dawno wyrosły, wprowadziły mnie w świat internetu.

Godzinami przeglądałam strony i fora genealogiczne, aż trafiłam na Teki Dworzaczka - Materiały historyczno-genealogiczne do dziejów szlachty wielkopolskiej XV–XX wieku. No i bingo! Jest Cywiński! Rok 1743! Może przekaz o szlacheckich korzeniach rodziny to prawda! Wypieki na twarzy, tętno przyspiesza, ręce się trzęsą... a tam obok nazwiska przypisek po łacinie: „economy, in patenue ebriosus cadeus”.

Gorączkowo szukam słownika polsko-łacińskiego, który akurat wtedy, gdy najbardziej potrzebny, postanowił się sprytnie schować. W końcu odważyłam się zadać pytanie na forum genealo-

gicznym GenPol, czekam dzień, drugi, wreszcie jest odpowiedź!

„Ekonom, z powodu pijaństwa wpadł do studni...”

Chłopskie pochodzenie naszych Cywińskich udowodniłam kilka lat później, prowadząc kwerendę w Archiwum Archidiecezjalnym w Gnieźnie.

Dziś na warsztatach genealogicznych, które prowadzę opowiadam tę historię potencjalnym poszukiwaczom herbu – ku przestrodze.

Z kolei Wojtek Jędraszewski w swoim opowiadaniu pokazuje, że nie warto się poddawać w swoich poszukiwaniach. I i II wojna światowa przyniosły ogromne straty nie tylko wśród żołnierzy, ale również wśród cywili. Jedną z ofiar I wojny był właśnie stryj Wojtka, którego miejsca śmierci Wojtek poszukiwał przez bardzo długi czas. Czy mu się udało?

Przypadek Wojtka

W czasie I wojny światowej mój stryj Aureliusz (rocznik 1899, najstarszy brat Ojca) został powołany w szeregi armii pruskiej. Dziadkowie wiedzieli tylko, że na tej wojnie zginął. Mówiło się w rodzinie, że gdzieś na terenie Francji.

Postanowiłem zająć się tą sprawą i poszukać informacji o nim, tym bardziej że upadł u nas komunizm i nastąpiło zjednoczenie Niemiec, co pozwalało kontaktować się z Zachodem. Pisałem do różnych instytucji niemieckich. Efekt był jeden. Odpisywali, że nic nie wiedzą, ale jak podeślę zaliczkę, to spróbują się tym zająć. Nie bardzo wierząc w ich dobre intencje, poza zbieraniem pieniędzy, nie skorzystałem z takiej oferty. Przez kilka lat nie mogłem sprawy popchnąć, aż do momentu, gdy dowiedziałem się od Macieja Głowiaka, że Niemcy wysyłali zawiadomienia o śmierci na wojnie do Urzędów Stanu Cywilnego w miejscu zamieszkania poległego żołnierza.

Natychmiast wybrałem się do Kruszwickiego USC. Był rok 2008, więc akta znajdowały się jeszcze w USC. Bardzo miła Pani pomogła mi w poszukiwaniach i... znaleźliśmy. W lutym 1919 roku, czyli już po zakończeniu wojny i w trakcie powstania wielkopolskiego, sporządzono akt zgonu na podstawie zawiadomienia z jednostki wojskowej. Z aktu, sporządzonego w języku niemieckim, wynikało, że stryjek służył w kompani karabinów maszynowych i został postrzelony w klatkę piersiową. Po trzydniowym pobycie w la-

zarecie wojskowym w Aachen zmarł 9 listopada 1918 roku. Dwa dni później zakończyła się I wojna światowa.

Aachen to po polsku Akwizgran znajdujący się obecnie na terenie Niemiec przy granicy z Belgią. Z portalu Genpol.com (dziś już nieczynny) dowiedziałem się, że w Aachen znajduje się cmentarz wojenny, na którym prawdopodobnie pochowano mojego stryjka. Wraz z bratem pojechaliśmy do Akwizgranu i po krótkim poszukiwaniu znaleźliśmy grób stryja Aureliusza: zadbany, z bardzo czytelnym napisem wykutym głęboko w kamieniu, wśród innych grobów żołnierzy pruskich na wojskowej części cmentarza. Z łezką w oku pomodliliśmy się nad jego grobem, znajdując go 90 lat po śmierci. Był najstarszym z rodzeństwa, z którego nikt nie dożył tej chwili. Wspomnę jeszcze tylko, że mój Tata, najmłodszy z nich (rocznik 1921), dostał po nim imię Aureliusz.

I na koniec uwaga genealogiczna. Nie należy wierzyć do końca w wersję opowiadaną – zginął we Francji, a faktycznie w Niemczech. Jeżeli zginął w czasie I wojny światowej, to informacji szukać należy w USC w miejscu zamieszkania. Zawsze możesz liczyć na pomoc innego genealoga.

Teraz czas na mnie! Zastanawiając się, co mógłbym opisać, miałem burzę myśli. Te same imiona wśród rodzeństwa, nieznane okoliczności śmierci moich krewnych, różnice wiekowe między małżonkami... przecież to wszystko się nadaje! Ale... czy ktokolwiek z Was miał ciotkę, która zmarła dwa razy? I to w odstępnie 40 lat...

Przypadek Kuby

Poszukując moich Wojtczaków, zawsze natrafiałem na jakiś problem. Albo nie mogłem ich znaleźć, a jak już znalazłem, to pojawiał się szereg innych komplikacji. Z opowieści rodzinnych wiedziałem, że mój ojczysty pradziadek, Stanisław Wojtczak, miał siedmioro rodzeństwa. Niestety, zmarł w 1968 roku, a jego syn, a mój dziadek, zginął w wypadku jeszcze przed moimi narodzinami, a z rodziną nie utrzymywaliśmy zbyt zażyłych kontaktów. Podczas poszukiwań okazało się, że Antoni i Antonina z Pędzińskich Wojtczakowie (rodzice Stanisława) mieli nie siedmioro, a dziesięcioro dzieci...

Moja babcia była więc dla mnie jedynym wówczas źródłem informacji o rodzinie mojego dziadka. Powiedziała mi, że jedna z siostr pra-

dziadka wyjechała do Francji, ale oprócz tego, że nie wiadomo, jak miała na imię, a już o tym, czy miała męża, czy dzieci mogłem tylko pomarzyć. Wiedząc, że w Archiwum Państwowym w Kaliszu są przechowywane Księgi ludności powiatu kaliskiego, które obejmują głównie II połowę XIX wieku i początek XX wieku, pojechałem tam z nadzieją odnalezienia jakichkolwiek informacji. Udało się odnaleźć moich Wojtczaków. I rzeczywiście, przy jednej z siostr, Janinie, znalazłem adnotację, że w latach 30. XX wieku wyjechała do Francji. Ale oprócz tego dowiedziałem się, że wyszła za mąż w latach 20., a w 1930 roku urodziła córkę. Cóż, pewnie wyjechała z rodziną „za chlebem” i albo tam została, albo wróciła do Polski. Potwierdziłem informację przekazaną przez babcię, temat ucichł.

Po kilku latach, chcąc odnaleźć oryginał aktu chrztu Stanisława, mojego pradziadka, wybrałem się do USC w Blizanowie. Oczywiście, jak każdy genealog, nie pojechałem tylko po jeden akt... Jak już była możliwość, chciałem zgarnąć wszystko. Jakie było moje zdziwienie, kiedy dotarłem do aktu urodzenia Janiny. Dwie adnotacje! Myślę: super, nie dość, że dowiem się, gdzie zmarła, to również, gdzie brała ślub. Nic z tych rzeczy... Pierwsza adnotacja informuje o... uznaniu za zmarłą: „Wyrokiem Sądu Grodzkiego w Kaliszu z dniem 16 III 1948 r. Nr 203/47 uznana za zmarłą”. Po jej odczytaniu smutno się zrobiło. Data wskazywała, że zapewne zmarła podczas II wojny światowej na terenie Francji. Jednakże czytając drugą adnotację, zrobiło się dopiero ciekawiej. Brzmiała ona: „Janina Nowak z d. Wojtczak zmarła dnia 29.12.1987 r. w Besseges, Francja, akt zgonu Nr 98. Konsulat Generalny RP w Lyonie”. Ale jak to? To w końcu zaraz po wojnie czy w latach 80.?

Wybrałem się ponownie do archiwum w Kaliszu. Przeglądając akta sądu grodzkiego w Kaliszu, odnalazłem interesujący mnie dokument. Wniosek męża Janiny o uznanie jej za zmarłą. I teraz dość smutna historia... Janina wyjechała przed wojną do Francji, zostawiając męża i córkę w Polsce. Od czasu wyjazdu nie dawała znaku życia. Po wojnie mąż, chcąc zapewne ułożyć sobie życie na nowo, zgłosił sprawę do sądu, oznajmiając, że jego żona nie kontaktowała się z nimi od czasu wyjazdu. Zapewne zmarła. Cóż bardziej mylnego...

Jak się okazało, we Francji obowiązuje prawo mówiące, że jeśli małżonkowie nie utrzymują ze sobą kontaktu przez sześć lat, są automatycznie w separacji. Po naturalizacji Janina zapewne skorzystała z tego prawa. Jej mąż ułożył sobie życie w Polsce, ona nie wyszła więcej za mąż, ale do kra-

ju ojczystego nie wróciła. Cóż, zmarła dwa razy, raz dla rodziny, drugi raz naprawdę...

Historia Janiny nie należy do najszcześniejszych. Dlatego postanowiłem przedstawić ją jako przedostatnią. Na koniec chcielibyśmy zaprezentować coś bardziej optymistycznego. Bo co bardziej cieszy genealoga niż poznanie nowej rodziny? A co wtedy, gdy – jak w przypadku Małgosi – okazuje się, że to nieznanemu od 50 lat... przyrodni brat?

Przypadek Małgosi

2013 rok, okolice świąt Wielkiejnocy, telefon z życzeniami, jedna z tych wielu rozmów, jakie odbywa się z dalszą, rzadko widzianą rodziną:

– Co u cioci? Wszyscy zdrowi?

– U nas też, dziękuję – odpowiadam na pytanie.

– A jak tam ten twój przyrodni brat Małgosiu? Masz z nim kontakt? – Zdziwienie. Jaki brat? Chyba coś się cioci pomyliło? Dalej ciocia (żona najmłodszego brata mojego ojca) kontynuuje wątek – kilka szczegółów, ale niejasnych: miał mieć imię na M, mieszkać w Częstochowie, być starszy o dwa lata, mieć mamę Mariannę i nosić inne nazwisko.

Dzwonię następnego dnia. Ciocia się wypiera. Mówi, że nic już nie pamięta, ma przecież przeszło 80 lat i na pewno nic takiego nie powiedziała. „Każdy wiek ma swoje prawa” – myślę, ale ziarno zostaje zasiane.

Najlepiej byłoby spytać rodziców. Ale już zmarli – tata gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, zaś mama w 1993 roku. Jestem późnym dzieckiem, więc z rodziny od strony ojca żyje jeszcze jego najmłodszy brat – przyrodni zresztą, ale choruje na alzheimera.

W międzyczasie przepytuję jeszcze całą rodzinę od strony mamy i dzwonię do teściowej. Nikt nic nie wie. Przypominam sobie o kuzynie (syn siostry taty), starszym ode mnie o 20 lat, powinien pamiętać lata 60. XX wieku, ale Boguś mieszka w Australii. Piszę maila. Przychodzi odpowiedź, kuzyn zaprzecza – cioci na pewno coś się pomy-

liło. Może i tak, przecież to historia nieprawdopodobna, dziwna, nierealna. Niemożliwa! Jednak przeglądam wszystkie stare zdjęcia ze szczególnym uwzględnieniem tych nieopisanych, szukając na nich małych chłopców.

Dokumentów i zdjęć po tacie nie zostało dużo, a wspomnień z dzieciństwa mam raptem kilka. Przeszłość taty zawsze mnie ciekawiła, a to był impuls, dzięki któremu zaczęłam zbierać i jakoś składać te rodzinne puzzle. Historia o przyrodnim bracie nie znalazła potwierdzenia w dokumentach, do których udało mi się dotrzeć, więc z biegiem czasu opowieść cioci uznałam po prostu za wybryk pamięci starszej osoby.

W życiorysie taty jest wciąż wiele niewiadomych, więc poszukiwania trwają. Dużo domysłów, ale faktów wciąż mało – konserwator zabytków, repatriant z Wołynia, żonaty z moją mamą – to wiem na pewno, ale poszukiwań wcale nie ułatwia fakt, że wszyscy w rodzinie są Stawscy, a on – Wstawski. Pojawia się też wątek tajemniczej Rosjanki – nie wiadomo, czy byłej żony, a może jakiejś wielkiej miłości ojca? (zdaje się, że był szalenie kochliwy). Analizuję przebieg służby wojskowej taty i postanawiam opublikować skany zdjęć z 1938 roku na portalu odkrywca.pl. Wpis pozostaje bez odpowiedzi.

Po trzech latach jednak przychodzi odpowiedź – akt zgonu taty i zdjęcie. W 50. wiośnie życia dowiaduję się, że mam brata. Kilka puzzli wskakuje na swoje miejsce. Poznaliśmy się – moja córka i żona brata twierdzą, że nawet jesteśmy podobni.

Na podsumowanie naszych historii pozostaje powiedzieć jedno. Genealogia jest ciężkim hobby, które spędza nam sen z powiem, ale w efekcie daje ogrom zadowolenia. Przedstawiając nasze historie, chcieliśmy Was zachęcić do dalszych badań, do drążenia, wypytywania, analizowania, do wszystkiego, co może okazać się pomocne, bo jak napisała Lila: „Tylko od nas zależy, czy wystarczy nam cierpliwości i dociekliwości, by je odkryć oraz zrozumieć”.

Zebrał i komentarzami opatrzył
Jakub Wojtczak

